

WOLNOŚĆ W PRAWDZIE*

Wolność to moc bycia sobą z wyboru, to moc i powinność „dociągania” siebie do poziomu prawdy o sobie, to moc i powinność wyzwolenia siebie w sobie przez wybór prawdy o sobie, to moc samowyzwolenia i samospelnienia, to po prostu moc życia prawdą o sobie.

1. STATUS QUAESTIONIS

Nie wiem, czy młody Platon szukałby ciszy i cienia lasku boga Akademo-
sa dla zgłębiania w skupieniu tajemnicy człowieka, gdyby nie dramat jego
Mistrza i nie pytania, do stawiania których prowokuje i nas dziś nieustannie
jego ostateczna decyzja. Dlaczego Sokrates zdecydował się pozostać w wię-
zieniu w chwili, gdy – dzięki zabiegom wpływowych uczniów – brama do wol-
ności stanęła przed nim otworem? Dlaczego nie wybrał wolności poza więzie-
niem? Dlaczego stawiał wyżej niewolę więźnia? Więcej jeszcze: Dlaczego
przełożył ponad oferowaną mu wolność – śmierć?

Czy nie dlatego, by ocalić wolność nieporównanie od tamtej cenniejszą?
Na czym tedy polegała ta preferowana przez Sokratesa wolność? Czym się
ona różni, od tej, którą proponowano mu za cenę ucieczki z celi więziennej?
Jakiego dylematu i dramatu symbolem staje się próg więzienia, skoro okazu-
je się on dla Sokratesa moralnie nieprzekraczalny?

Dziwny i osobliwy to próg. Zmusza do tego, by się przy nim zatrzymać.
Zmusił do tego Platona. Proponuję, byśmy się i my przy nim zatrzymali.

Dla Sokratesa – przekonanego o formalnej prawomocności wyroku – jest
to próg oznaczający przepaść. Jak przepaść oddziela dwa brzegi, tak i ten
próg oddziela dwie wolności: wolność w prawdzie – od wolności w niepraw-
dzie. Te dwie wolności to zarazem dwa przeciwieństwa. Wolność w prawdzie
różni się od wolności w nieprawdzie tak radykalnie, iż ta druga – w oczach
Sokratesa – traci wręcz tytuł do nazywania jej wolnością. Akt wyboru niepra-
wdy, akt samo-zakłamania, to – w jego osądzie – akt samo-zniewolenia, to
decyzja na samobójstwo: na zabicie samego siebie oraz zabicie swej wolności
– i to rozpędem i mocą jej własnej dynamiki. Dlatego Sokrates nie zdecydo-
wał się na przekroczenie progu swej celi. Platon, który – pod postacią Krito-
na – usiłował go do tego nakłonić, wracać musi do domu sam. Lecz wraca

* Skrócona wersja odczytu wygłoszonego podczas „Tygodnia Filozoficznego Studentów KUL” w lutym 1987 r. – Red.

inny. Wracą bogatszy o bulwersujące odkrycie: Sokrates nie wybrał – proponowanej mu – wolności, ponieważ wybrał... wolność. Nie, tu nie trzeba nawet dodawać, iż chodzi o wolność w prawdzie. Wszelka inna bowiem wolność nie jest dla Sokratesa wolnością na miarę człowieka.

Oto dlaczego narodzin Akademii Platona trzeba nam szukać w celi, w której rodziła się wielka decyzja człowieka, a wraz z nią rodził się „nowy człowiek” w człowieku.

Akademia zrodziła się z tamtych narodzin i po to, by o nich świadczyć. Rodzi się ze zobowiązania wobec bohatera człowieczeństwa. Rodzi się także z poczucia odpowiedzialności za tych, którzy doświadczenie swojej celi mają wciąż jeszcze przed sobą, i których los ciągle jeszcze zależy od nich samych, od ich ostatecznej decyzji, poprzez którą rozstrzygną sami, czy zrodzą się ku swej pełni wybierając wolność w prawdzie, czy też dokonają aktu autodestrukcji wybierając wolność w nieprawdzie.

Od tamtego czasu przeznaczeniem wszelkiej akademii jest stać na straży wolności w prawdzie. *Libertas in veritate* – to jej zadanie. Dla wypełnienia tego zadania akademie musi dlatego wpatrywać się ciągle w sprawę człowieka poprzez Sokratejską decyzję. Decyzja ta stanowi źródło fundamentalnie ważnych informacji o człowieku i zarazem najbardziej rzetelną podstawę ich pracomocności. To *locus anthropologicus par excellence*. Znaczy to, że akademie ciągle musi niejako pozostawać w łączności z celą Sokratesa, by mogła pozostać sobą. Musi nieprzerwanie udzielać głosu tym, którzy najczęściej są głosu pozbawieni i przemawiać mogą już tylko bezsłowną decyzją stanowczego trwania tam, gdzie są. Dla akademii naszych dni mniej ważną rzeczą jest to, jakie dzisiaj nosi imię Sokrates. Ważną natomiast, by umiała go w porę odkryć pod każdym imieniem, gdzie tylko jest niewolony – lub umiera – za to jedynie, że wybrał wolność w prawdzie, czyli za to, że wybrał człowieczeństwo po prostu, że je w sobie – dla nas wszystkich – ocala. Biada akademii, gdyby przestała być ciągiem dalszym świadectwa, z którego się poczęła, gdyby słowa „*libertas in veritate*” stały się w niej jedynie ozdobnikiem bez pokrycia! Byłaby niczym sól zwiędła...

Od czasu skazania mędrca Agory na śmierć upłynęło ponad dwa tysiące lat, lecz dramat Sokratesa nie należy wcale do przeszłości. Przeciwnie, narasta wciąż za naszych dni. Powstały oto – z powołaniem się na... filozofię człowieka, czyli prawdę o człowieku – nowe ideologie, nowe półprawdy czy też mity o człowieku, które umieją uśmiercać Sokratesa w sposób szczególnie wyrafinowany. Usiłują one mianowicie oddramatyzować dramat Sokratesa w taki sposób, że w jego wyniku już nie więzienie, lecz klinika psychiatryczna staje się najwłaściwszym miejscem izolowania go od społeczeństwa. Sokrates – wedle tychże mitów o człowieku – to człowiek chory na obiektywną prawdę, a więc na prawdę, której... nie ma. Czyż wolność człowieka nie na tym właśnie polega, iż to on sam ustanawia prawdę o sobie? Czy wielkość jego nie

leży w tym właśnie, że – miast „biernego” konstatowania, kim jest i co z tego dlań normatywnie wynika – mocen jest on wolnym aktem samorozumienia (autointerpretacji) k o n s t y t u o w a ć swą istotę i t w o r z y ć odpowiadające temu samorozumieniu normy postępowania? W imię wolności człowieka należy zatem uwolnić naprzód owych biednych, samozwańczych bohaterów sumienia od ich własnych urojeń, od iluzorycznych wymagań domniemanej, absolutnej prawdy o człowieku, od dyktatury jej rzekomej nadrzędności wobec aktów samorozumienia, z powodu której oni sami najbardziej – choć całkiem niepotrzebnie – cierpią. Trzeba ich jednak izolować także od społeczeństwa, by mu oszczędzić ciężarów nakładanych przez pozbawionych samokontroli marzycieli, którzy głosząc wyimaginowane prawdy o człowieku, jako rzekomo obiektywnie mu dane i zadane – burzą ludziom spokój bądź utrudniają jego przywrócenie. Udaremniają efekty – jakże żmudnego – procesu normalizacji. Stąd Sokratesów nie należy dziś ani więzić, ani wytaczać im procesów. Trzeba ich leczyć. Oto współczesny sposób na Sokratesa!

Zatem, w imię przetrwania autentycznej kultury, co więcej, w imię ocalenia człowieka, trzeba przede wszystkim uratować dla naszej kultury i dla współczesnego człowieka sens decyzji Sokratesa i cały zawarty w niej ludzki dramat. Trzeba odslaniać wyzwalającą człowieka moc obiektywnej prawdy i cały ciężar jej absolutnych wymagań, ciężar wolności w prawdzie. Czy nie należy więc zacząć od apelu do wszystkich akademii świata o solidarność z Sokratesem wszystkich czasów, także z Sokratesem naszych dni? Kto wie, czy solidarność ta nie jest bardziej potrzebna współczesnym akademiom niż współczesnym Sokratesom. Zdradzając Sokratesa, akademie zdradza bowiem samą siebie.

Oto dlaczego uznałem za celowe wskazać na istotną więź wszelkiej akademii z miejscem narodzin Sokratejskich decyzji w chwili, gdy organizatorzy „Tygodnia Filozoficznego Studentów KUL” proszą mnie o podjęcie tematu wolności w prawdzie. Podejmując ten temat w ramach takiego jak ten sympozjonu, jesteśmy u siebie w domu, w najgłębszym tego słowa znaczeniu. Jakże znacząca jest tu okoliczność, że Katolicki Uniwersytet Lubelski rodzi się w 1918 r., w dniu odrodzenia Polski z wiekowej niewoli, „z trudu i znoju” doświadczenia narodu w więzieniu zaborców. I że odradza się w pełnym symbolicznej wymowy roku 1944. W roku, w którym dymią jeszcze krematoria Majdanka. Tragiczna historia daruje KUL-owi dziejowo na zawsze już nierozłączalne – i zobowiązujące do świadectwa – sąsiedztwo. Rok 1944 to również rok „kamieni na szaniec”, rok umierającej na oczach świata – pozostawionej własnemu losowi – Warszawy. Jest to także rok bitwy o Monte Cassino.

Poprzestańmy na tych trzech wybranych z wielu przystankach polskiej drogi do wolności: drogi dojrzewania wolności i dojrzewania do wolności. Nie są to wydarzenia, o których wolno by było jedynie opowiadać. Są to wy-

darzenia, które każą mieć otwarte sumienia na współczesnych Sokratesów, także w Polsce anno 1987. Akademii, jaką jest Katolicki Uniwersytet Lubelski, nie wolno więc prowadzić medytacji na temat wolności w prawdzie, w oderwaniu od trudnych przygód Kowalskiego z wolnością. Nie wolno jej nie podjąć problemu Sokratesa w kraju, w którym wciąż jeszcze świeża jest mogiła męczennika wolności w prawdzie. Nie dlatego, że jest to problem przede wszystkim polski: jest on polski raczej dlatego, że jest rdzennie ludzki. Oto proponowane przeze mnie podejście do tematu „libertas in veritate – wolność w prawdzie”. W tej konwencji zamierzam utrzymać całą swą wypowiedź.

2. DOŚWIADCZENIE WOLNOŚCI DOŚWIADCZENIEM ZADANIA

Czy Kowalski roku 1987 jest starszy od Kowalskiego roku 1944? Sądzę, że obaj mogą mieć po tyle samo lat: 20, 30, 40, 50... Wiekiem więc się nie różnią. Nie różnią się też, przynajmniej zasadniczo, swym stosunkiem do wolności. Ten z roku 1944 był gotów oddać wszystko i oddawał wszystko „Za wolność waszą i naszą” (Tadeusz Kościuszko). Na drodze „z ziemi włoskiej do Polski”, w słonecznych dniach maja 1944, tylko na stokach Monte Cassino zostało ponad tysiąc Kowalskich.

Ale łatwiej jest być bohaterem wolności przez pięć lat wojny niż przez czterdzieści lat bez wojny. Niech więc nikt nie odważy się rzucać kamieniem w Kowalskiego, dlatego że ucieka lub dlatego że waha się, gdy w czterdziestym roku pokoju słyszy: „Podpisz i będziesz wolny!” Nie dziwny się też tym, którzy drżącą dłonią podpisali, że są wolni i nie umieją odtąd zapomnieć ceny tej wolności. Powiedzieliby nam zapewne to samo, co ma do powiedzenia Kowalski, który nie podpisał. I do niedawna jeszcze był tam, gdzie był. Lub znowu jest... O nim chcę tu mówić. I o jego towarzyszach gdzie indziej. Dlaczego nie wybrał proponowanej mu wolności? Co oznacza to drzenie? Czy ręki przede wszystkim?

Oznacza ono odkrycie. Oznacza samoodkrycie. Oznacza wstrząsającą lekcję antropologii i etyki. Tremendum et fascinatum misterium hominis. Kowalski rozbija atom swego własnego „ja”. Wdziera się w głąb swej własnej tajemnicy, swej podmiotowości osobowej. Kowalski widzi w olśniewającym skrócie, iż nie może zignorować prawdy raz poznanej i za prawdę uznanej, nie ingerując, więcej, nie przekreślając przez to samego siebie. Ocalić siebie to ocalić wolność nieporównywalnie głębszą i ważniejszą od tej, jaką przełożeni więzienia oferują Kowalskiemu w zamian za podpis, który oznacza akt sprzeniewierzenia się prawdzie. Ocalić swą wolność, ocalić wierność wobec poznanej prawdy i ocalić samego siebie – to jedno i to samo! Kowalski widzi między nimi nierozzerwalne iunctim. To odkrycie nie pozostawia mu żadnej co do tego wątpliwości: naprawdę wolny – w sytuacji, którą narzuca mu przemoc – może pozostać tylko pozostając w więzieniu. „W więzieniu, ale wolni”.

Kto to powiedział? Sokrates? Tomasz More? Stefan Wyszyński? Przecież to nieważne, kto – odkąd Kowalski sam widzi, sam doświadcza.

Kowalski odkrywa sam siebie. Odkrywa, kim jest. Odkrywa, owszem, przez co jest tym, kim jest. Szczególnie ostro poznaje, kim jest, właśnie w sytuacji gwałtu: w dramatycznym momencie próby zdławienia w nim tego, przez co jest tym, kim jest. Lecz właśnie próba zadania gwałtu Kowalskiemu objawia mu, iż nikt nie jest w stanie mu go zadać, jeśli on sam – ulegając przemocy z zewnątrz – nie zada go sobie sam. Kowalski odkrywa swe „mogę – nie muszę”. Przez owo „mogę – nie muszę” staje na progu swej podmiotowości. Odkrywa swą wolność.

Lecz wraz z wolnością odkrywa coś więcej, odkrywa jej zadanie. Owszem, odkrywa ją samą wraz z tym, do czego ją ma. Odkrywa, że jest wolny dla... wolności! Dla jakiej wolności?

Dopiero tu dotyka istoty swego wnętrza, istoty własnego „ja”, sedna swej podmiotowości osobowej i zarazem sedna swej wolności. Swą wolność widzi jako wolność wezwaną do uznania prawdy o sobie, czyli jako moc wezwaną do spełnienia samego siebie poprzez wybór prawdy o sobie, a więc jako moc daną sobie dla samospełnienia i zarazem samowyzwolenia, jako moc wybrania wolności w prawdzie. Odkrywa, czego mu absolutnie nie wolno w stosunku do samego siebie, a zarazem co – i dlaczego! – absolutnie powinien, będąc tym, kim jest! Wraz ze swą wolnością: „mogę, nie muszę” – odkrywa nadrzędne wobec niej afirmabile: godność swego „ja”. Odkrywa swe „powinieniem” współkonstytuując je poniekąd aktem swego (samo)poznania. Odkrywa, że zależeć od samego siebie, być autentycznie samo-zależnym, autentycznie samo-rzadnym, czyli wolnym pełnią wolności, to spełnić to „powinieniem”, to uzależnić się – aktem własnego wyboru – od prawdy o sobie poznanej przez siebie. Odkrywa, że rządzić samym sobą – to rządzić się prawdą o sobie, to wybrać prawdę o sobie, to nie miotać na oślep samowolnie sobą, to nie spychać samego siebie z pozycji rządzącego się prawdą o sobie podmiotu na pozycję „wolnego” od prawdy samo-miotu: karykatury podmiotu. Odkrywa, że wolność to moc bycia sobą z wyboru, to moc i powinność „dociągania” siebie do poziomu prawdy o sobie, to moc i powinność wyzwolenia siebie w sobie przez wybór prawdy o sobie, to moc samowyzwolenia i samospełnienia, to po prostu moc życia prawdą o sobie. Odkrywa, że wolność to odpowiedzialność za siebie – wielkość i dramat, a także „skazanie”, by być wyłącznym swej wielkości i dramatu aktorem.

Być może Kowalski nie dokonałby nigdy tego olśniewającego i wstrząsającego zarazem odkrycia, gdyby nie znalazł się nagle pod kluczem i gdyby mu ktoś nie podsunął ołówka i kawałka papieru z propozycją: „podpisz...!”, propozycją, którą Kowalski może tylko zrozumieć jako: „nazwij białe czarnym!”

Czy z tego należy wyciągnąć wniosek, że po lekcje antropologii i etyki, lekcje „uczenia się człowieka”, należy się udać do celi więziennej i że nagra-

dzać trzeba tych, którzy obsługują nie kościoły i szkoły czy uczelnie, ale więzienia? Odpowiem – a raczej powtórzę odpowiedź: Platon nie był więźniem. Czy jednak stałby się twórcą Akademii, gdyby nie doświadczył spotkania z więźniem, który decyduje się pozostać w więzieniu w chwili, gdy on, Platon – dzięki swym wpływom – otwiera mu bramy wolności? I czy Chrystus nie stał się więźniem Piłata dlatego, by Piłatom wszystkich czasów, uciekającym od siebie samych w iluzję świata „poza prawdą”, zagrozić drogę świadectwem prawdy o ich człowieczeństwie? „Słowo nie nawróciło, nawróci krew” (Karol Wojtyła – *Stanisław*).

Może więc i dziś, aby odnaleźć siebie samych, trzeba nam zostawić na boku brednie współczesnych Protagorasów, którzy chcą nam wmówić, iż sami mamy moc stwarzania prawdy o sobie dla siebie, iż osoba to „wolność” mająca moc ustanowić swą własną istotę, zdecydować stwórczo o swej naturze... – i pójść śladem refleksji i decyzji Kowalskiego: szeregowego więźnia z wyboru, rewolucjonisty sumienia czy – jak kto woli – męczennika sumienia. Chodzi o sprawę człowieka najważniejszą z ważnych...

Doświadczając wraz z Kowalskim prawdy czegoś, co się wydarza na mych oczach, nie mogą wobec niej zachować neutralności. Dotyczy to w szczególności prawdy o samym sobie, prawdy samopoznania. Swoim własnym aktem poznania tej prawdy wiąże się do jej uznania za prawdę. Sam się nią osaczam. Sam siebie – nią! – wiąże! Sam przez siebie jestem – nią! – związany. Sam jej udzielam głosu i sam uznaję jej głos za swój własny. Sam biorę na siebie rolę jej świadka! Jej poręczyciela. Sam! Oto moja autonomia! Oto moja miara samozależności. Konstytuuje się ona przez to, że sam siebie uzależniam od prawdy, która ode mnie nie zależy. Sam „siebie przekraczam” w jej stronę. Sam rządę i kieruję sobą, gdy kieruję się i rządę prawdą. Moja auto-nomia to auto-transcendencja w prawdzie! Sam, poznając, współokreślam niejako warunki współmiernego ze mną, czyli godnego mnie samego – egzekwowania swego „mogę, nie muszę”, warunki godnego mnie egzekwowania swej wolności.

Wolność moja polega na tym, że aktem własnego wyboru sam mogę potwierdzić, albo sam zanegować tę dokładnie prawdę, którą poznawszy, sam – własnym aktem poznania – za prawdę uznałem. Sam własnym aktem poznania stwierdziłem – i potwierdziłem – jej normatywną wobec mnie moc. Odtąd nie mogę więc potwierdzić samego siebie inaczej, jak tylko potwierdzając aktem wolnego wyboru prawdę uznaną już uprzednio przeze mnie własnym aktem poznania. I vice versa: nie mogę się odtąd sprzeniewierzyć uznanej przez siebie samego prawdzie – nie sprzeniewierzając się przez to samemu sobie. Nie mogę zlekceważyć aktem wyboru poznanej przez siebie prawdy, nawet gdyby była na pozór błaha, nie dokonując przez to rozłamu w samym sobie, sięgającego głębi własnego „ja”. Znaczyłoby to bowiem, iż to samo moje własne „ja”, które jako podmiot poznania opowiada się – przejmując rolę na-

ocznego świadka – po stronie poznanej prawdy, zaprzecza samemu sobie wypierając się – jako podmiot wolnego wyboru – uznanej przez siebie prawdy! Trudno pomyśleć bardziej absurda i gruntowniej samoniszczące użycie swej własnej wolności. Oto dlaczego „biada mi”! Tak, mnie biada, gdy zetknąwszy się z prawdą, doświadczając jej, nie stanę się jej wiernym do samego końca – aż po jej wybór! – świadkiem. Vae mihi! Biada mi! Św. Paweł widzi do samego dna to, przed czym tak dramatycznie samego siebie przestrzega. Prawda, zdradzona przeze mnie, i tak pozostanie tym, czym jest: prawdą. I osądzi mój czyn oraz mnie, jego sprawcę. To nie ona, to ja jestem głównym zagrożonym, gdy decyduję się na akt zaparcia się prawdy. Mierząc w prawdę aktem zdrady – godzę śmiertelnie w samego siebie samobójczym ciosem. Tylko wierność prawdzie może mnie ocalić. Dana mi wolność, moje „mogę – nie muszę”, jest wolnością do wolności wyższej niż ona sama, jest wolnością dla wyboru prawdy... Dla wolności życia prawdą. Dla wolności bycia w prawdzie z wyboru. Dlatego jedynie wybór prawdy wyzwala mnie ku mej pełni. I ku pełni wolności. Jedynie wybór prawdy chroni mnie od autodestrukcji. Jedynie prawda wyzwala... (por. J 8, 32).

Kowalski nie ma alternatywy, jeśli nie chce się zdecydować na absurd samobójstwa. Wolny, sobą, owszem, wolny pełnią wolności i sobą pełnią siebie, pozostanie tylko pozostając w więzieniu, gdyby alternatywą miała być zgoda na czyn samozakłamania.

Oto droga Kowalskiego do swych nowych narodzin, do pełni życia: poznając prawdę, jakkolwiek, odkrywa sam siebie jako wezwany – na życie i śmierć – do jej wyboru i do spełnienia samego siebie w jej wyborze. Spełniając to wezwanie, wybierając prawdę, Kowalski wybiera siebie, wyzwala swe „ja” do końca, wybiera życie. Owszem, rodzi sam siebie do pełni życia. Nie jest to „genezis z ciała”. Jest to „genezis z ducha” (Juliusz Słowacki). Kowalski widzi, czego absolutnie nie wolno mu się lękać: świadczenia prawdzie. Także po to, aby móc żyć. I czego jedynie winien się lękać: samozakłamania. Także po to, by nie zginąć. Tylko ono niesie śmierć.

Czy Kowalskiemu wolno swe odkrycie pozostawić w ukryciu? Czy nie jest ono skarbem, który trzeba odsłonić, pokazać? Czy nie trzeba mu akademii, by mógł jej – i przez nią wszystkim – przekazać swój skarb? Cisza celi więziennej zamienia się w wołanie o akademię! Trzeba ją wznosić – niczym wystawę człowieczeństwa w człowieku – na rynkach ludzkiego życia, by wnosić w nie twórczy niepokój. Nie wolno dopuścić do tego, by człowiek żył – i życie swe przeżył – obok samego siebie. Wybrać siebie może tylko ten, kto zobaczył siebie. Trzeba więc ludziom ułatwiać zobaczenie siebie, trzeba „wywyższać” człowieka w człowieku, trzeba rozbudować sieć akademii pośród ludzi. Trzeba im słyszalnym uczynić wołanie celi!

3. ODKRYCIE SIEBIE ODKRYCIEM DRUGIEGO W SOBIE

Ale odkrycie to nie jest wcale ostatnim odkryciem Kowalskiego. To pierwsze wyłania z siebie natychmiast następne. Odkrywając strukturę własnego „ja” w swym własnym „ja”, Kowalski odkrywa strukturę „ja” jako „ja”, strukturę każdego innego „ja”. Odkrywając sam siebie w sobie, Kowalski odkrywa w sobie prawdę o każdym drugim, odkrywa w sobie samym każdego drugiego. I popada poprzez to w „matnię” prawdy o każdym drugim! Drugi, owszem, każdy drugi to ktoś, kto – tak samo jak ja – poznając prawdę sam się nią wiąże do jej uznania, do jej wyboru, pod groźbą autodestrukcji w przypadku jej negacji. Poznając prawdę zamyka się – tak samo jak ja – w jej „potrzasku”. I sam odtąd przejmuje na siebie zadanie odpowiedzialnego za nią i za siebie samego świadka. Zatem: czego mi absolutnie nie wolno w stosunku do własnego „ja”, nie wolno mi także – dokładnie z tego samego powodu – w stosunku do każdego innego – bez wyjątku – „ja”! Rozpoznając drugiego poprzez strukturę swego własnego „ja”, dostrzegam, że jedynie afirmując jego wewnętrzne samozwiązanie się poznana przez niego („od środka”) prawdą – jestem w stanie uczynić zadość wymaganiom prawdy o samym sobie! Kowalski dostrzega więc, jak niełatwą ma drogę do samego siebie, do „tak” dla samego siebie. Musi na niej spotkać i zaafirmować każdego drugiego dla niego samego! Tak właśnie jak – w imię prawdy o sobie – siebie samego! Nie wolno mu nikogo wykluczyć, jeśli chce zostawić szansę dla... siebie! Musi wszystkich w sobie „obejmać sumieniem” (Cyprian K. Norwid).

Lecz odkrycie to ujawnia jeszcze inny, zaskakująco optymistyczny wymiar. Wszak i każdy drugi – gdy tylko dokona aktu samoodkrycia – nie jest w stanie dać jakichkolwiek szans samemu sobie inaczej, jak tylko afirmując podmiotową strukturę każdego drugiego „ja”, z moim własnym włącznie! I on, tak samo jak ja, wpada w „potrzask” prawdy o każdym innym „ja”, odkrytej w swym własnym „ja”. I jego wiąże dlatego to samo: czego mi absolutnie nie wolno w stosunku do własnego „ja”, tego mi też nie wolno – z tego samego powodu – w stosunku do każdego innego „ja”! Nie jestem, innymi słowy, w stanie odnaleźć siebie samego w sobie i spotkać się z samym sobą inaczej, jak tylko odnajdując i spotykając w drodze ku samemu sobie każdego drugiego z osobna i wszystkich razem łącznie. Nie ma innej drogi od siebie do siebie! Nie ma drogi na skróty! Jestem „skazany” na każdego drugiego: mogę się spełnić i do końca wyzwolić jedynie afirmując każdego drugiego. I każdy drugi „skazany” jest na mnie. Może się sam spełnić i wyzwolić siebie do końca jedynie afirmując każdego drugiego do końca – ze mną włącznie. Jesteśmy razem i każdy z osobna „skazani na radykalną solidarność”. „W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele”! (Adam Mickiewicz).

Prawda o nas „skazuje” nas na wybór komunii w prawdzie o nas, czyli na radykalną miłość wzajemną. Drugi jest mi tak bliski, jak ja sam sobie. Gdy

tego nie wiem, nie wiem najważniejszej rzeczy o samym sobie. Drugiemu jestem tak bliski, jak on sam sobie. Gdy on tego nie wie, nie wie najważniejszej rzeczy o samym sobie. Siebie samego wybieram, gdy jednocześnie afirmuję w tym wyborze każdego drugiego. I drugi wybiera naprawdę sam siebie, gdy w tym wyborze afirmuje każdego drugiego – ze mną włącznie. Oto dlaczego drugi to bliźni w najbardziej radykalnym tego słowa znaczeniu. Nigdy rywal, nigdy wróg!

Stąd też jedynie we wzajemnej komunii – wyrosłej z komunikowania sobie prawdy o nas samych – odnajdujemy dopiero samych siebie i wyzwalamy do końca samych siebie w sobie. *Comunione è liberazione!* Komunia – czyli solidarność każdego z każdym i wszystkich ze wszystkimi – wyzwala! Owszem, jedynie ona wyzwala. Nie można tego chyba zwięźlej i głębiej wyrazić. Nikt bodaj nie dorówna Luigi Giussanemu w ujęciu sedna tego, o co tu chodzi. I jako prawdy o nas, jako programu dla nas. Kowalski odkrywa to wszystko – widzi – w swej celi. To nie jego pogląd na siebie – pogląd na człowieka. To jego wgląd w siebie. I w człowieka w sobie. I... jest to zarazem wgląd w należne sobie od siebie i w należne człowiekowi od człowieka. *Primum anthropologicum et primum ethicum convertuntur!* D. Hume „odkrył” przepaść, której nie ma!

A jeśli bliźni Kowalskiego – jak choćby ten oto przestrzennie mu najbliższy – wkroczył na drogę gwałtu, przemocy? Kowalski, odkrywając raz prawdę o wielkości człowieka, rozbraja się raz na zawsze z możliwości stosowania przemocy nawet w stosunku do tych, którzy ją wobec niego stosują. Pozostaje mu broń ze wszystkich najtrudniejsza, ale i jedynie skuteczna: próba przebudzenia w bliźnim-agresorze... człowieka, rozbudzenia go mocą świadectwa składanego prawdzie o wielkości człowieczeństwa w człowieku. Odmawiając kompromitującego podpisu, Kowalski nie tylko ocala swe własne człowieczeństwo, lecz zarazem najskuteczniej rozbudza człowieczeństwo w tym, który go gwałci. Składa mu niezwykle dowód solidarności z nim w jego człowieczeństwie, nie zrywa z nim więzi, owszem, nawiązuje najgłębszą z możliwych – w tej sytuacji. Akt odmowy jest świadectwem i hołdem składanym prawdzie o człowieczeństwie ich obu na równi. Stąd, jeśli nawet Kowalski został z wyboru sam w swej celi więziennej, nie jest w niej nigdy – i nie czuje się w niej nigdy – „samotną wyspą”. Wie, że wybrał więź najgłębszego „zespoleńia z ludzkością” (John Donne), więź ze wszystkimi i z każdym z osobna na fundamencie solidarności z nimi w ich człowieczeństwie. Także z tymi wszystkimi, którzy siłą chcą go zepchnąć – wymuszaniem kłamliwego podpisu – z jedynej drogi człowieka do człowieka: do drugiego i samego siebie. I tych ostatnich nie wolno mu zdradzić. Jest za nich odpowiedzialny. Zdradziłby ich ulegając ich naciskowi, spełniając ich życzenie. Ulec – to zabrać im szansę przebudzenia i nawrócenia. Nie nawróciło słowo, nawróci świadectwo...

„Nie pogarda Ateńczyków, lecz troska o nich kazała Sokratesowi powiedzieć im „nie”. Nie wyniosłość ani ambicja, lecz szacunek i życzliwość dla Henryka VIII kazały Tomaszowi More powiedzieć królowi „nie”. Kowalski sam może nie wie, w jak niezwykle doborowym towarzystwie się znajduje. I jeśli mu nawet na myśl nie przychodzi, by pisać listy z więzienia, sam jest żywym listem. Jest listem otwartym do wszystkich braci w człowieczeństwie: listem-wezwaniem do wolności w prawdzie. Jest też wyrzutem, nikogo nie oskarżając. Ale biada mi – nie ośmielam się powiedzieć: nam – gdybym wiedząc o Kowalskim, nie odpowiedział bodaj słowami tego oto świadectwa na jego świadectwo bez słów. Kowalski wybierając wolność w prawdzie rehabilituje człowieka, poniekąd każdego z nas. Jest solą... Oto treść jego przesłania.

4. ZAMIAST ZAKOŃCZENIA

Cóż można od nas, tak licznie zebranych tu przedstawicieli wspólnoty akademickiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, przekazać Kowalskiemu – i wszystkim jego towarzyszom w świecie, gdziekolwiek są – w odpowiedzi na to przesłanie – oprócz wyrazów solidarnej z nimi więzi? Czyż nie to, że w jego towarzystwie widzimy zawsze Tego, który musiał wytrzymać najbardziej wyrafinowaną próbę sensowności swego świadectwa, próbę Piłatowego pytania: „Cóż to jest prawda?” (J 18, 38). Tego, z którym również próbowano pertraktować z pozycji siły: „Czyż nie wiesz, że mam moc Cię wypuścić na wolność i mam moc wydać Cię na śmierć?” (J 19, 10). Tego wreszcie, o którym nie kto inny, lecz tenże sam Piłat – poddając się mocy i fascynacji rozbrojonego z siły świadectwa – wypowiada nieśmiertelne: „Ecce Homo!” „Oto Człowiek!” (J 19, 5)?

Ten właśnie Człowiek mówi dziś także każdemu z nas: I ty możesz być i winieneś się stać człowiekiem wolnym, wolnym wolnością, której nikt – poza tobą samym – nie jest w stanie ci odebrać, ale i nikt – poza tobą samym – nie jest w stanie ci jej dać, człowiekiem wolnym wolnością w prawdzie. Nie wierzysz? Patrz na Kowalskiego! Ten bezdomny dla prawdy, bezdomny z wyboru we własnym kraju, to też tylko... człowiek. To Człowiek! Ecce Homo! To on czyni tę ziemię Ziemią Wolną, Ojczyzną ludzi.